

Krzysztof Bonk

IRVIN

SYNTEZA NADPRZESTRZENI

BODY



Krzysztof Bonk

IRVIN

SYNTEZA NADPRZESTRZENI

CZĘŚĆ I

Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
Konwersja wydania elektronicznego: e-bookowo
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-913-5

Wydawnictwo: self-publishing
Wszelkie prawa zastrzeżone
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

PROLOG

Strefa Kosmiczna – Otwarta

- Tu baza, jak sytuacja? Odezwijcie się, Ikar.
- Słyszemy cię, Hermes. Wchodzimy na trajektorię asteroidy C/19796770.
- Odległość od Ziemi?
- Dwadzieścia milionów kilometrów.
- Prędkość?
- Dwadzieścia sześć kilometrów na sekundę.
- Zezwalam na podejsście.
- Przyjąłem.
- I... coś jeszcze...
- Tak?
- Nie p a l c i e się tak do akcji, Ikar. To jest nie podlećcie za blisko Słońca... – Na tle szumów z mikrofonu przy hełmie pilota Ikara pojawiają się tłumione śmiechy. Prowadzący pojazd kosmiczny mężczyzna, zgrzytliwie odpowiada:
 - Bardzo zabawne, Hermes. Słyszę ten dowcip co drugą akcję. Wysilcie się na coś nowego...
 - Dobra, powiedz im, Ben. – Kolejne śmiechy – To ja im powiem. Kiedy lądujecie tym swoim Ikarem na asteroidzie, to na podglądzie wyglądacie, jak...
 - Jak co...?
 - Jak...
 - No jak...?

– Jak mucha na kosmicznym g... – Z mikrofonu wraz z trzaskami wylewa się fala głośnego rechotu. Odpowiada mu zrezygnowany, męski głos pilota:

– Bez odbioru...

Niebawem niewielki pojazd ląduje na gigantycznej skale pędzącej w przestrzeni kosmicznej i wychodzi z niego para osób w srebrnych skafandrach. Aby utrzymać się na powierzchni asteroidy o nietypowym kształcie cygara, używają grawitonu¹⁵, urządzenia generującego sztuczne pole grawitacyjne, dzięki któremu przybysze nie odrywają się od kosmicznej skały. Niezdarnie kroczą oni w jednym kierunku i za pomocą łącza radiowego prowadzą swobodną rozmowę:

– Tym razem to coś naprawdę innego... – rozbrzmiewa nieco zmęczony, dojrzały, męski głos pilota. Odpowiada mu młodzieńczy szczebiot pomocnika, w którym tli się żywa iskra entuzjazmu:

– Tak, potwierdzam, to bardzo nietypowe odczyty!

– Wiesz, co to oznacza...?

– Specjalną premię?!

– Ech, zobaczymy... Zapewne odnajdziemy kolejny eksponat muzealny...

– Fragment jakiejś sondy wysłanej z Ziemi przed tysiącami lat?!

– To właśnie obstawiam...

– Ale... Wiesz, że ta asteroida przybyła tu spoza Układu Słonecznego!

– I to jest jedyna rzecz, której bym się akurat obawiał...

– Następna przesyłka od obcych istot?!

– Hm...

– Jakieś odporne na promieniowanie jonizujące przerośnięte niesporczaki, wytrzymujące temperaturę zera absolutnego albo dwustu stopni Celsjusza?!

– Oby nie... Nigdy z takich odwiedzin nie wynikało nic dobrego... Choć z drugiej strony...

– Tak?!

– Mniejsza z tym, co tam siedzi, byle było to coś wartościowego...

– Prawda! Specjalna premia!

– Otóż to... To moja jedyna motywacja dla zbierania kosmicznego złomu...

– I w co byś zainwestował zarobione neobitcoiny? Ciągłe masz plan posiadania niemodyfikowanego genetycznie potomstwa?!

– Aha... Ja i Alicja mamy takie właśnie marzenie...

– Ech, wy, z Tradycji! My w Awangardzie inwestujemy jedynie w ulepszanie naszego potomstwa!

– Jasne, chcecie być lepsi, a wiesz, gdzie ta pogoń za doskonałością was zaprowadzi...?

– No gdzie, gdzie?!

– Skończycie, jak Neosi... Bez płci i ludzkiej moralności, za to z genami obcych istot...

– Gadaj zdrów! Ale...

– Ta...?

– Tylko spójrz! Ja pierdolę! Nie wierzę!

– Co u... kosmicznego diabła...

Parze osób ukazuje się połyskująca wielobarwnymi światłami konstrukcja w kształcie cylindra. Podchodzą do niej ostrożnie i spoglądają od góry przez szybę.

- Uszczypnij mnie... – jęczy starszy mężczyzna.
- Czy to jest premia?! – zapytuje już wręcz z szaleńczym entuzjazmem młodszy.
- To jest... dziecko... Dziecko, rozumiesz? Zahibernowany chłopiec w kapsule, pędzący tu z peryferii naszego układu planetarnego...
- To bez sensu!
- Z tym się akurat zgadzam...
- Na pewno żyje, ten chłopiec?!
- Nie wiem... – Starszy mężczyzna przygląda się z uwagą całej gamie przycisków i wykresów na owalnej konstrukcji tuż koło szyby, za którą widać dziecięcą twarz. – To nie jest nasza technologia... – oznajmia nieco zrezygnowany.
- Więc to antyk?!
- Wręcz przeciwnie...
- He?!
- To coś wygląda...
- Tak?!
- Jakby przybyło tu... z przyszłości...
- Przyszłości?!
- Ano...
- No, no i co?!
- Ano myślę, że to...
- No co, co?!
- To premia...
- Premia?!
- Ta... Kurewsko wielgachna premia, jak gmach kongresu Gwiazdy Południa... Co najmniej sto neobitcoinów...
- Sto! Ha!

– Aha...

Z powodu niezwykłego znaleziska w mężczyznach eksploduje nagle wielka radość. Chwytają się za ręce i w uniesieniu odprawiają wokół dziecięcej kapsuły taniec. Choć z powodu małej grawitacji można odnieść wrażenie, jakby pływali w wodzie.

Aż raptem z pojemnika z dzieckiem wystrzeliwuje oślepiający, jaskrawoczerwony promień i dwaj znalazcy padają bez życia na skaliste podłoże. Ich grawitony¹⁵ zostają zdezaktywowane i para ciągle trzymających się za ręce osób, majestatycznie, niczym w ocenie, odpływa ku bezkresnej, kosmicznej otchłani.

– Ikar! Zgłoście się! Powtarzam, tu Hermes do Ikara! Widzieliśmy to! Wskaźniki oszalały! Co tam się, kurwa, wyprawia! Ikra! Odbiór! Tu Hermes do Ikara! Nawiążcie łączność! Ikar!

I. IRVIN

Ameryka Południowa Strefa Siedemnasta – Otwarta Buenos Aires Motel Łóżko Śmierci

Właśnie nastaje noc, lubię noc. Czemu? Pewnie dlatego, że jest tak odmienna od dnia. Od światła dnia, które między innymi jest zbyt transparentne. Czasem ujawnia zbyt wiele. A ja nie przepadam za otwartością, o nie.

W moim świecie prym wiodą szemrane interesy i tajemnice. Przyjmuję i wykonuję zlecenia. Czy jestem w tym dobry? Najlepszy, o tak. Jednak bywam wyjątkowo skuteczny, kiedy otula mnie mrok. Wydaję się wręcz nim pożywiać, gdy kroczę środkiem ulicy oświetlonej migotliwą poświatą jaskrawych neonów. I jest w tym wiele prawdy – posmak nocy autentycznie dodaje mi sił.

Prawie nikt nie wie kim, czy też czym w rzeczywistości jestem i nie powinien tego wiedzieć, ponieważ ta wiedza byłaby zarazem jego końcem. Ktoś by powiedział, że wyjątkowo cenię sobie prywatność. Zaiste miałby w tym rację. Jednak ja sam za nic mam prywatność innych. W końcu żyję z cudzych tajemnic, odzieram istoty z intymności i wywlekam na zewnątrz pożądaną przez innych wiedzę.

Jestem kryształitem, jednym z ostatnich, a dla niektórych już tylko legendą, mroczną legendą. Lecz nie dla tych, którzy

korzystają z moich usług i nie dla tych, którzy stają się moimi ofiarami, o nie. Ci pierwsi znają mnie, szanują i respektują. Ci drudzy zaś ostatnim, co w życiu widzą, to moje niezwykle w tym świecie oblicze. Ech, ten świat...

Mój F-X135, nie rzucający się w oczy pojazd z napędem antygrawitacyjnym, ląduje na skraju sześciennego placu ze srebrnego metalu. Wokół znajdują się budynki przeznaczone do użyteczności publicznej takie jak obowiązkowo burdel z najbardziej krzykliwymi, czerwonymi neonami. Można tu też dostrzec podświetlane fluorescencyjną zielenią kasyno, tonącą w błękitnie restaurację z owocami morza, czy złocący się sklep z ekstrawaganckimi ciuchami.

Lecz ja sam, w moim zdezelowanym, czarnym płaszczu i przybranej postaci ludzkiego mężczyzny, kieruję się prosto do oświetlonego różem motelu. W moim grafiku widnieje bowiem spotkanie w tym właśnie miejscu.

Przed progiem mijam dwie półnagie panienki, które swoimi cenami robią konkurencję burdelowi z naprzeciwka. Przez chwilę przyglądam się kobietom lekkich obyczajów, ale bynajmniej nie po to, aby rozważyć możliwość skorzystania z ich usług.

Przebieranie się za dziwki jest typowym kamuflażem moich rywali z branży. Zwykle poszukują tego samego, co ja, najęci przez inne, dziane szychy. I z góry lepiej jest wiedzieć czy nie mam w pobliżu konkurencji. Tym razem okolica jest chyba czysta, ale zawsze wypada się upewnić.

Moje oczy tylko z wyglądu przypominają ludzkie. W rzeczywistości stanowią zaawansowany aparat dogłębnej inwigilacji. Spoglądam w błękitne tęczówki pierwszej damy lek-

kich obyczajów i w niejednolitej strukturze oka dostrzegam zestawy mikroskopijnych figur geometrycznych. W moim umyśle układają się one w zrozumiałe wzory, ukazując przeszłość tej istoty.

Przebyte i obecnie trawiące ją choroby wskazują na wyjątkowo dużą ilość partnerów seksualnych i to każdej kategorii, nie wyłączając napalonych syntetyków i ras kosmitów. Ta wiedza mi wystarcza, aby nie drażnić dalej. Ta postać mi nie zagraża, choć myślę, że może zagrażać sama sobie. Odczuwam, że jej energia psychiczna jest na wyczerpaniu. Nieuchronnie zbliża się koniec tej istoty. Cóż...

Natomiast druga z kobiet posiada lśniące białym światłem, modyfikowane tęczówki. Natrafiam na barierę, która nie pozwala mi poznać wszystkich sekretów owej tajemniczej damy. A skoro tak, udaję zainteresowanie jej wdziękami i chwytam za prawie goły tyłek.

Kobieta uśmiecha się, ale robi to w wymuszony sposób, zupełnie jakby nie chciała zarobić. Czyżbym nie wpadł jej w oko? Ten brak profesjonalizmu wzmaga moją czujność. Przyciągam ją do siebie, a ona się krzywi i lekko odpycha dłońmi od mego torsu.

Mam cię... – myślę i z opuszków palców wysnuwam miniaturowe igły, które przenikają przez skórę podejrzanego dziwki. Nie zamierzam ryzykować i zapobiegawczo wpuszczam jej do krwiobiegu armię nano-botów. Teraz zabawią się z jej układem odpornościowym. Co ją czeka? Silna gorączka, wściekła biegunka, a może rychły udar? Nie mi o tym decydować. Zdecyduje starsza matka – biologia.

Po minięciu kobiet przechodzę przez imitację drzwi, które

są jedynie zwisającymi z góry serpentynami jarzącymi się wielobarwnym światłem. W motelu jest nieco ciemniej niż na zewnątrz, a co za ty idzie jeszcze przyjemniej. Znajduje się tu portiernia, a przed nią zestaw stolików z krzesłami. Każdy rozświetlony inną, jaskrawą, ale przytłumioną barwą. Ogólnie panuje półmrok. Dobrze, bardzo dobrze – syć się widokiem i szukam wzrokiem człowieka, z którym mam tu umówione spotkanie.

Zawiedziony dostrzegam tylko parę bezpłciowych syntetyków. To humanoidalne istoty, które w tym świecie ostentacyjnie nie pokrywają swego ciała sztuczną, ludzką skórą i z premedytacją demonstrują swoją odmienność.

Ich prawo, w każdym razie w Strefie Siedemnastej. Ponieważ należy ona do Stref Otwartych, gdzie nie obowiązuje żadne nadrzędne prawo. Miło, prawda? Lecz skoro nie ma prawa, nie ma także nikogo, kto byłby gotowy je chronić. W konsekwencji na swój sposób łatwo jest tu żyć, ale jeszcze łatwiej zginąć.

Tymczasem wspomniane androidy, widząc we mnie na ten czas postać człowieka, wbijają we mnie swoje lodowate spojrzenia. Ja natomiast zamierzam zająć takie miejsce, aby cały czas mieć je na oku. Oczywiście bowiem jest, że para blaszaków najchętniej wbiłaby we mnie coś innego niż wzrok.

Mój wybór pada na stół oświetlany bordowym światłem. Zasiadam za nim ponieważ nie pozostaje mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość w oczekiwaniu na umówionego gościa.

Następnie spoglądam na zawieszony nad portiernią ekran prezentujący wiadomości, a jednocześnie mam baczną uwagę

na wejście, parę syntetyków, jak i portiera, czy zejście z górnych pięter motelu. Ach ta podzielność uwagi, przydatna rzecz – myślę, gdy osaczają mnie dźwięki i obrazy z elektronicznego ekranu. Daję im się do pewnego stopnia pochłonać:

– Tu Kanał Siódmy i najważniejsze wiadomości ze świata.
– Spikerka ma sztuczne, różowe oczy i długie, fioletowe włosy. Jej w znacznej mierze odsłonięte ciało zdobią wielobarwne wzory tatuaży pełne uduchowionych znaków. Całkiem pociągający głos przechodzi przez liczne modyfikatory, których część zaimplantowana jest zapewne już w gardle. Wsłuchuję się w to uwodzące brzmienie: – Na Krymie na pograniczu Stref Zamkniętych, Drugiej oraz Trzeciej dochodzi do silnej eksplozji nuklearnej. W wyniku sabotażu całkowitej anihilacji ulega kompleks fabryczny wytwarzający komponenty do produkcji syntetycznej żywności dla ludności Gwiazdy Północy. O dokonanie ataku zostaje oskarżona komórka terrorystyczna niejakiej Jane powszechnie znanej jako „Twoja Ostatnia Noc”. Co prawda atak został dokonany właśnie nocą, ale czy to wystarcza, aby obwiniać o niego wspomnianego, kobiecego androida? Dla władz Stery Drugiej, Zamkniętej, niewątpliwie tak, ponieważ przeforsuje dzięki temu kolejne plany ofensywy na Strefę Trzecią, bastion syntetyków. Trwający od stuleci konflikt na pograniczu Europy i Azji eskaluje się w zastraszającym tempie i zapewne wchodzi w swoją decydującą fazę.

– Dziękuję ci, Ixi, za te mrożące krew w żyłach i inne płyny ustrojowe w przewodach, cyber-wiadomości. – Głos zabiera wyżełowany palant w srebrnej koszulce w pretenjonalne, zielone grochy. Jego twarz zdobią liczne meta-

lowe implanty, a usta syntetyczne klamry. Za ich sprawą dźwięcznie kontynuuję: – Dochodzą nas z kolei słuchy, że na kontynencie Ameryki Północnej w Strefie Dwudziestej Pierwszej, Zakazanej, zaistniała spektakularna mutacja bytującej tam rasy obcych zwanej krzemomorfami. Te oparte w swej budowie na krzemie istoty osiągają ponoć możliwość rozprzestrzeniania się wodami oceanów. Rodzi to nowe, niezwykle zagrożenie zarówno dla innych gatunków kosmitów na kontynencie amerykańskim, jak i dla różnorodnych bytów z pozostałych części świata. Przypominamy, iż dotychczas krzemomorfy zamknięte były na wyspie Floryda, gdzie wyeliminowały wszystkie inne istoty. Co ty na to, Ixi?

– Moje źródła niestety potwierdzają te dramatyczne informacje, Joki. A źródła te są niepodważalne, bowiem pochodzą od samych cyber-bytów, wirtualnych istot, które jako jedyne są w stanie zbliżyć się do krzemomorfów i nawiązać z nimi kontakt.

– Och, Ixi, czyli czarne wieści się tylko potwierdzają. Doskonale, albowiem wiesz, co to oznacza.

– Słupki oglądalności w górę, Joki!

– Tak! Potrzebujemy właśnie takich mrozących krew w żyłach i inne płyny ustrojowe w przewodach, cyber-wiadomości! Zanim jednak przejdziemy do kluczowych atrakcji czyli niezwykle długiego pasma reklam, przedstawiam wiadomość, która niewątpliwie nie zwiększy nam oglądalności...

– Co to za drętwe wieści, Joki?

– Otóż... W okolicę Ziemi zawitał całkiem nowy gość.

– Przedstaw go nam.

– To asteroida C/19796770, która, uwaga, przybywa do

nas spoza Układu Słonecznego.

– Ojej, Joki, czyżby kolejne odwiedziny rasy obcych?

– Oby nie, bo wszyscy mamy ich już serdecznie dosyć! A jak podpowiadają cyber-byty wspomniana asteroida nadlatuje do nas z gwiazdozbioru Lutni, a ściślej okolic gwiazdy Vega. Co ty na to, Ixi?

– To... fascynujące... doprawdy... A teraz wyczekiwane przez naszych widzów reklamy! Z kolei zaraz potem wielce niepokojące wieści o narastających niepokojach w Strefie Zero czyli niezgłębionym, wirtualnym świecie cyber-istot!

Zapowiedź krzykliwych reklam skutecznie odwraca moją uwagę od ekranu monitora i kieruje ją na osobę, która akurat przystaje koło mojego stolika. Jest nią portier, robiący jak się okazuje także za kelnera, ponieważ bez słowa zostawia na moim stoliku elektroniczną kartę dań.

Kładę na niej rękę, odprowadzając wzrokiem mężczyznę ubranego w sztywny, biały uniform z dwoma rzędami wielkich, czarnych guzików. Służbowy strój portiera wyjątkowo dobrze koresponduje z niewyraźną emocji twarzą, która choć już nie oglądana przeze mnie, to całkiem dobrze wyryła mi się w pamięci.

Zaraz potem ze srebrnych schodów schodzi niezdarnie jakiś człowiek. Po drodze, zamiast spoglądać pod nogi, poprawiając okulary, patrzy po sali i raptem płaczą mu się jego patykowate, dolne kończyny. Ups... potyka się i boleśnie spada z wysokich stopni.

W pośpiechu wstaje, jakby gotował się do walki. Następnie po kolei przesadnie szczyrzy zęby do wszystkich bywalców pomieszczenia, dając do zrozumienia, że wszystko

jest po prostu świetnie i byliśmy świadkami prawdziwego wejścia smoka.

Ta... Może jego wyleniającej wersji w postaci rozdygotanej jaszczurki, która w końcu ogniskuje wzrok na mojej osobie. Dyskretnym skinieniem ręką wskazuję niezdarnemu mężczyźnie, aby zajął miejsce naprzeciw mnie po drugiej stronie stolika. Bystrzak rozumie przekaz i wkrótce mam go przed sobą.

Tak, to niewątpliwie osławiony profesor Ilson. Nikogo innego nie stać by było na tak tandetne okulary, stanowiące jedynie szkła korekcyjne bez dodatkowych bajerów. Do tego te niemodne już, jaskrawoniebieskie luźne ciuchy i rozbiegany wzrok szalonego naukowca. To musi być on – Ilson.

A więc cały czas siedzi sobie w tym motelu. W swej głupocie okazuje się on nawet sprytny. Obecnie jest bowiem chyba najbardziej poszukiwaną osobą w Strefie Siedemnaściej, a jak gdyby nigdy nic rezyduje w samym środku miasta. Może jeszcze zameldowany pod własnym imieniem? Nieważne. Czas brać się do pracy...

– Ilson? Profesor Ilson? – pytam zgrzytliwie.

– Ilson, prawda, to ja, w rzeczy samej – potwierdza wyraźnie zdenerwowany.

– Dobrze... – Kładę na blacie stołu otwartą dłoń wnętrzem do góry, aby mógł mnie sprawdzić. Przykrywa moją rękę swoją dłonią i pomiędzy nimi pojawia się czerwony rozblask. Wściekła czerwień jest alarmowa, a pożądana byłaby kojąca zieleń. Hm... Muszę się bardziej postarać, ponieważ Ilson spogląda na mnie teraz już na dobre spanikowany, a ja próbuję go uspokoić. Nie jest to moja domena, zdecydowanie

bardziej wolę denerwować ludzi. – Spróbujmy jeszcze raz – cedzę przez zęby. Tym razem pomiędzy naszymi dłońmi pojawia się zielona poświata. Na ten widok mój gość oddycha z niewymowną ulgą i nagle patrzy na mnie niemal z uczuciem. Cóż, kiepsko trafił, raczej nic z tego nie będzie, zdecydowanie nie jest w moim typie. Za to są w nim posiadane przez Ilsona dane. Czas więc po nie sięgnąć. – Era Mroku – oświadczam zdecydowanie. W końcu podaję się za kuriera, nieprawdaż? – Czekam na plik.

– Plik, tak, oczywiście... – Ilson odruchowo przeciąga sobie rękę po twarzy, jakby chciał otrzeć pot z czoła, choć te jest suche, niczym wiór. W pomieszczeniu jest całkiem chłodno, jak przystało na czarną, styczniową noc w Buenos Aires. Lubię styczniową noc i lubię Buenos Aires...

– Na co czekamy? – posyknę groźnie, aby zmobilizować roztrzęsionego gościa.

– Na dane, oczywiście na dane... – mówi i niedyskretnie wyciąga z kieszeni wściekle niebieskiego płaszcza miniaturowy nośnik danych. Kładzie go na stole dokładnie pomiędzy nami i spogląda na niego z krzywym uśmiechem. Przykrywam nośnik swoją ręką i za pomocą skanera w dłoni staram się odczytać zawartość.

– Jest czysty... – stwierdzam niemile zaskoczony i zirytowany zarazem, a jednocześnie wlepiam w Ilsona ostre spojrzenie. Ten się pospieszenie tłumaczy:

– Ta wiedza jest zbyt ważna, aby przechowywać ją na stałym nośniku. Dane są w ciągłym przesyle w Sieci.

– Kontrolują to cyber-byty?

– Tak, to najbezpieczniejszy sposób. Dane jeszcze nie

wyszły z ósmego poziomu Strefy Zero, tylko tam są bezpieczne. Ale już czas, aby opuściły wirtualny świat. Ludzie... wszystkie istoty muszą się w końcu dowiedzieć, czym są na tym świecie! – Ilson nagle daje się unieść rewolucyjnej pasji. Zaciska wątle dłonie w pięści i nierozważnie podnosi głos.

– Ostrożnie, spokojnie... – mówię mu i pokazuję kciukiem na dziwkę za przeszkloną ścianą. Tę samą, którą uraczyłem nano-niespodzianką. Zaskoczony zauważam, że mój nowy znajomy radośnie macha do kobiety i zaraz wypala:

– To moja żona, Patrycja!

– Że co...? – A to niefart.

– Patrycja stoi na czatach i informuje mnie o wszystkich osobach wchodzących do motelu.

– Aha... to świetnie... – Moja dłoń ląduje z płaskiem na moim własnym czole, po czym ściągam ją sobie na oczy. Potrzebuję chwili, aby dotarło do mnie, z jak niezwykle przebiegłym zawodnikiem mam do czynienia. Następnie koncentruję się już tylko na misji: – Kiedy pojawią się dane? – zapytuję, wskazując na nośnik.

– Nie wiem... – Ilson obdarza mnie rozbijającym uśmiechem. – Nagrałem już cyber-bytom informację, że czas wyjść z ukrycia z naszą wielką wiedzą, aby objawić ją całemu światu. Teraz czekamy już tylko na niebieski rozbłysk elektronicznego urządzenia, a potem... – Zainkasuję sto neobitcoinów, mówię sobie w myślach. Jednak Ilson ma chyba nieco inną wizję, kończąc swojej zdanie: – Potem istoty zrozumieją kim są tutaj naprawdę i cały świat ulegnie odmianie! – Zakwita przesadnie szczerym uśmiechem.

– Jasne... – przytakuję i zniecierpliwiony cały czas patrzę

w nieświecący się jak na złość błękitem nośnik danych. Równocześnie kątem oka uważnie śledzę dwóch syntetyków przy stoliku, którzy od pojawienia się Ilsona są dziwnie milczący. Także portier zastygł w miejscu, zupełnie jakby czegoś oczekiwał. A na dodatek gdzieś zniknęła druga dziwka, ta wydawałoby się, prawdziwa.

Słowem atmosfera się zagęszcza, ale wszystko czego teraz pragnę, to jedynie tego cholernego niebieskiego mrugnięcia. Tak, sto neobitcoinów. Lecz zamiast nich dostaję potok nic nie znaczących dla mnie słów Ilsona. Póki co muszę go słuchać i grać tego dobrego. Obecnie nie mam wielkiego wyboru.

– Dowody, które zebraliśmy są niezbite! – mówi z nieustającym entuzjazmem profesor. – W prehistorii Ziemi rzeczywiście zdarzały się olbrzymie katastrofy, które zapoczątkowały wielkie wymierania władców tej planety!

– Dinozaurów... – wtrącam znudzony.

– Tak! Na ten przykład właśnie dinozaurów! Jednak odkąd na Ziemi pojawił się człowiek te zmiany przybrały cykliczny charakter!

– Fascynujące...

– Nie przeczę! Początkowo przypominało to testowanie czy też wdrażanie jakiegoś destrukcyjnego systemu. Dokładnie co dziewięć tysięcy lat nasz świat nawiedzały różnorodne, ale lokalne katastrofy. Raz było to zlodowacenie, które pokryło lodem niemal całą Europę!

– Brrr...

– Tak! Innym razem gigantyczny pożar strawił w pełni sawannę na obecnej Saharze. Był też niewyobrażalny potop,

gdzie pod wodą znalazła się Azja Mniejsza!

– Nie do wiary...

– Zaiste! A wspominałem już o trzęsieniu ziemi, które oddzieliło Kenię od Afryki?!

– Tak, zdecydowanie...

– Na pewno...? – Ilson naraz spuszcza z tonu i spogląda na mnie podejrzliwie.

– Tak, było o Kenii... – rzucam niewinne kłamstewko, aby mieć już temat za sobą. Ale nic z tego, profesor okazuje się twardym graczem i brnie w swoje spiskowe teorie coraz dalej, wszem i wobec ogłaszając:

– Jednakże na pewnym etapie historii ludzkości coś się zmieniło, zupełnie jakby ktoś przełączył tryb w tajemnej maszynie zniszczenia!

– Zadrzałem...

– Otóż to, to doprawdy wstrząsające! Najpierw, w dwudziestym pierwszym wieku, pojawia się nieopisany kataklizm w wyniku seryjnego wybuchu wulkanów. Praktycznie jednocześnie eksplodują kaldery Yellowstone w Ameryce Północnej, Toba na Sumatrze, Campi Flegrei w Europie, Kikai na wyspie Riukiu oraz Taupo na Nowej Zelandii!

– Nowym czym...?

– Zelandii! Obecnie te wyspy już nie istnieją, ale kiedyś były doprawdy imponujące! I piękne...

– Aha...

– Tak, piękne... Ale to piękno, tę wspaniałość nam odebrano!

– Cóż za strata...

– Niewypowiedziana! A ile było tych strat? Proszę!

Równy trzy tysiące lat po wulkanicznej zimie Ziemię nawie-
dziła wyniszczająca fala epidemii. Dramatycznie chorowała
roślinność, zwierzęta lądowe i morskie, a przede wszystkim
umierali ludzie!

– Druga apokalipsa... To zdaje się wirus HVPX.

– Dokładnie! Ludzkość po raz drugi została niemal uni-
cestrwiona!

– A potem chyba sama się niemal unicestwiła...

– Bum! Nuklearny Armagedon! Tak! Lecz nasze badania
wskazują, że nie było ataku oraz natychmiastowego odwetu!
Wszystkie głowice atomowe zostały odpalone w jednej
chwili! Wszystkie na całym globie!

– Hm...

– A jednak i tym razem ludzkość się podnosiła po nukle-
arnej śmierci!

– Jak jej szło...?

– Dobrze, naprawdę dobrze!

– Zuch, ludzkość... Ale pewnie tylko przez kolejne trzy
tysiące lat...?

– Trafione! To wtedy doszło do gigantycznej inwazji z ze-
wnątrz! Te wszystkie kosmiczne skały spadające na Ziemię
i zainfekowane obcym DNA!

– Inwazja obcych...

– Tak i w wyniku tego wielka wojna! Wojna, gdzie osta-
tecznie pozostali jedynie pokonani!

– Dużo jeszcze tych końców świata...? – Spoglądam już
naprawdę zniecierpliwiony na nośnik danych, który ciągle
nie ma zamiaru błysnąć. Głupi, złośliwy złom

– Ile jeszcze końców świat?! Ha! – Ilsona porywa coraz

bardziej podejrzany entuzjazm, zupełnie jakby przyjął wcześniej jakieś mocno stymulujące prochy. Może rzeczywiście jest na haju? – Więc koniec świata! – wyrzuca z siebie niezwykle energicznie. Jednocześnie przekrwione oczy niemal wychodzą mu z orbit i łapie się z boleścią za gardło, po czym z trudem próbuje kończyć zadanie, okraszając je obfitą pianą płynącą z ust: – Właśnie mijają trzy tysiące lat... Nadchodzi przerażająca... Katast... Eee... – W tym momencie stacza się nieprzytomny pod stolik. Na samym zaś stoliku delikatnie migocze błękitem nośnik danych.

– Ciekawy zestaw... – Patrzę równocześnie na właśnie załadowane danymi elektroniczne urządzenie, nieprzytomnego profesora, jak i leżącą z boku kartę dań. Dokładnie to zamierzałem zamówić – myślę sobie i wyciągam dłoń po nośnik danych Ilsona, lecz pierwsza przykrywa go jakaś pokryta połyskującym metalem ręka.

W nanosekundę znajduje się koło mnie dwóch znajomych mi już bezpłciowych androidów. Ten, który nie chwycił urządzenia wysnuwa z rękawów płaszcz dwa pistolety i opróżnia magazynki wprost w moją głowę. Trafiony seriami padam z podziurawioną twarzą wprost na blat i bezwładną ręką przykrywam dłoń syntetyka na pożądanym przeze mnie urządzeniu. Na pewną bezwładną ręką...? Otóż nie do końca...

Android próbuje wyszarpnąć swoją kończynę z mego uścisku, ale napotyka niespodziewany opór. W jednej chwili moja dłoń transformuje w lepką substancję, powleka rękę syntetyka i miażdży ją, jednocześnie zabezpieczając elektroniczne urządzenie.

Cóż... Czy wspominałem już, że tak naprawdę jestem ko-

smitą kameleonem składającym się w swej esencji z płynnych kryształów? Każdy ma jakieś tajemnice...

Moje humanoidalne w kształcie ciało raptownie prostuje się do pionu i wysnuwam z siebie całą baterię niezwykle ostrych kolców, które zmieniają bliższego mi syntetyka w kiepskiej jakości durszlak. Podziurawiony, strzelający iskrami android pada zdezaktywowany na połyskującą zielonym światłem podłogę.

Odwracam się do drugiego z przeciwników zaopatrzonego w spluwy. Ten już zrozumiał powagę sytuacji. Odrzuca swoją śmieszną dla mnie broń i sięga do kieszeni płaszcza, po czym wyjmuje granat. Jeżeli nie jest to ładunek świetlny, to nic mi nie grozi. Jednak nie zamierzam ryzykować. Wysnute ze mnie kolce gwałtownie opuszczają moje ciało i jak pociski wystrzeliwuję je wprost w androida. Ten zostaje przyszpilony do czerwonej ściany za sprawą dziesiątek drobnych ostrzy, ale jakimś cudem jeszcze wyciąga zawleczkę z granatu. Pech...

Następuje potężny rozbłysk światła i padam jak sparaliżowany na podłogę. Lecz najgorsze jest to, że przez pewien czas rzeczywiście jestem zastopowany. Przestrzeń mojego kryształowego ciała zostaje prześwietlona i staje się statyczna, niezdolna do transformacji. Nienawidzę światła i pewnie ze wzajemnością...

Na szczęście przeciwnicy są już pokonani.

Czyżby...?

Tuż nade mną staje portier z podejrzaną długą, automatyczną strzelbą. I ten jego szyderczy uśmieszek. O tak, zaraz pokona krysztolita, jednego z ostatnich. Oczyma wyobraźni

pewnie już widzi moją kryształową głowę jako trofeum nad swoim kominkiem.

Dobra, kiedyś musiało się to wydarzyć. Wszystko kiedyś musi się po prostu stać. Jestem gotowy na dekonstrukcję. Zresztą i tak nie przepadałem za tym światem. Za dużo światła.

Tak, zdecydowanie za dużo światła... – myślę, gdy wtem portier paskudnie się krzywi na twarzy i z czoła spływa mu krew. Tuż nad nim dostrzegam żonę profesora Ilsona, którą wziąłem za dziwkę. Lecz teraz widzę, że całkiem dobrze grywa ona w bejsbol. Podłużny kij w jej rękach zadaje mojemu niedoszłemu oprawcy całkiem przyzwoite ciosy.

Aż nagle żona profesora zastyga w miejscu, zupełnie jak zdezaktywowany robot. Spoglądam na nią pytająco z dołu, a ona na mnie z góry, po czym kobieta otwiera usta i obficie wymiotuje na mnie krwią.

Nano-boty... Przypominam sobie czym ją nafaszerowałem i właśnie mam tego zgubny dla siebie efekt. Zrezygnowany patrzę, jak żona profesora oraz poobijany przez nią mężczyzna równocześnie padają na mnie i przygniatają swoimi ciałami.

Po chwili zainfekowana dama jest już nieprzytomna. Lecz jak na złość portier zatrzymuje przy sobie resztki świadomości. Próbuje on osiągnąć porzuconą na podłodze strzelbę, ale jego ręka trafia w wolną przestrzeń. Najwyraźniej od dzielnych uderzeń w łeb dostaje oczopląsu.

Niestety okazuje się, że ma coś jeszcze w zanadrzu. Drugą ręką wyciąga z kieszeni miniaturową strzykawkę i wpuszcza mi w ramię podejrzany, różowy płyn. Następnie, zanim

kompletnie odleci, smętnie cedzi przez zęby:

– Ostrzegaliśmy nas, że się tu zjawisz... Pozdrowienia od... Jane...

A więc zostaję czymś zakażony, po prostu cudownie. Gdy zaś wydaje mi się, że wyczerpałem już limit pecha na tę styczniową noc, przybywa tu dumnie dziwka. Ta niby prawdziwa, weneryczna, i co robi?

Niczym ratownik medyczny albo rasowy zabójca, bądź jedno z drugim, sprawdza Ilsonowi puls, po czym z gracją skręca mu kark. Ajć... aż chrupnęło. Dalej podchodzi do mnie i jak gdyby nigdy nic kradnie moją dzisiejszą zdobycz – nośnik danych, od którego się to wszystko zaczyna. Zanim jednak niby-dziewka odejdzie, skanuje swoją dłońią elektroniczne urządzenie. Oczywiście, że jest pełne, przecież dane nagle nie wyparowują.

I tak podejrzana kobieta triumfalnie wychodzi z motelu Łóżko Śmierci. Mnie natomiast pozostawia z żalosnej pozycji i jeszcze bardziej żalosnym stanie – sparaliżowanego, kryształowego człowieka, a do tego z podejrzaną infekcją. A miało być tak pięknie, sto neobitcoinów zarobionych lekką ręką. Czy wspominałem już, że nienawidzę tego świata?